

Upokorzenie uniwersytetów

Incydent, który rozpoczął się od antysemitycznych wybryków przyniósł falę artykułów, wyrażających sceptycyzm w stosunku do zawodu profesora uniwersytetu, a zwłaszcza profesorów humanistyki i nauk społecznych. W Ameryce są dwa zawody, traktowane jak gdyby wykonujący je odznaczali się nieomylnością: lekarz i profesor. Pierwszy wciąż uważany jest za panaceum na choroby. Pozycja drugiego zaczyna się chwiać – pisze prof. Ewa Thompson w nowym felietonie z cyklu „Widziane z Houston”.

Wszystko zaczęło się od wysłuchania w Kongresie trzech rektorów wiodących amerykańskich uniwersytetów (<https://www.nytimes.com/2023/12/06/us/harvard-mit-penn-presidents-antisemitism-hearing.html?searchResultPosition=38>). Chodziło o to, że wojna Hamasu z Izraelem wywołała wiele demonstracji studenckich popierających Palestyńczyków, i niektóre z nich przybrały wyraźny antysemityczny odcień. Podczas tego wysłuchania kongresmenka Elise Stefanik zadała rektor Harvarda, prof. Claudine Gay (Afroamerykanka), pytanie: „Czy standardy Harvarda (Harvard szczyli się wolnością słowa) pozwalają na nawoływanie do genocydu Żydów?” Bowiem wśród propalestyńskich demonstrantów pojawiały się również takie głosy. Na co rektor Gay odpowiedziała „To zależy od okoliczności”.

Można sobie wyobrazić burzę po tym stwierdzeniu. Rektor Harvarda to antysemitka! Kongresmenka Stefanik wybuchła: „Nie! Odpowiedzią jest nie! Tylko tak można odpowiedzieć!” Wkrótce potem do wiadomości publicznej

przedostał się fakt, że dorobek naukowy rektor Gay jest raczej skromny: ok. tuzina artykułów i stustronicowa książeczka. To trochę za mało, aby być promowaną na profesora zwyczajnego na dobrych uniwersytetach, a co dopiero na pozycję rektora najbardziej cenionej amerykańskiej wyższej uczelni. Co więcej, komitet, który w pośpiechu zawiązano w celu ustalenia kompetencji naukowych rektor Gay, odnalazł ok. 40 fragmentów jej artykułów, będących dosłownymi cytatami z prac innych naukowców – ale bez podania źródła. Większość tych rzekomych plagiatów polegała na tym, że np. część zdania złożonego była skopiowana *verbatim* z innej pracy, a druga połowa była produktem umysłowości prof. Gay. Moim zdaniem, są to przypadki graniczne; kopiowanie fraz nie jest plagiatem, ale całych zdań... I to w dodatku przez rektor Harvarda... Niesmak.

Zareagowali również darczyńcy uniwersytetów. Jeden z donatorów Harvarda nazwiskiem Bill Ackman zagroził, że planowana przez niego darowizna 100 milionów dolarów zostanie wstrzymana, jeżeli osoby oskarżone o brak reakcji na antysemityzm nie złożą rezygnacji. Podobnie postąpiło kilku innych bogatych donatorów. *Co nota bene* przypomina nam o roli pieniędzy w liberalnych demokracjach. Kolorytu dodaje fakt, że żona Billa Ackmana, była profesor MIT, też została oskarżona o plagiat.

Rektor Gay wystąpiła przed Kongresem w towarzystwie rektor Liz Magill (uniwersytet stanowy Pensylwanii). Wysłuchanie miało na celu uczulenie kół uniwersyteckich i amerykańskiego społeczeństwa na wzrost antysemityzmu w Stanach Zjednoczonych. Obie panie oskarżono o brak silnej reakcji na to zjawisko. Liz Magill pokajała się pierwsza i złożyła rezygnację ze swego stanowiska. Claudine Gay początkowo broniła się, ale gdy publicznie zaatakowano jej niezupełnie przezroczysty dorobek naukowy, też złożyła rezygnację (<https://www.nytimes.com/2024/01/02/us/harvard-claudine-gay-resigns.html>). Jej artykuł w *New York Timesie* na ten temat jest wyniosły i

prześiąknięty lewicową ideologią

(<https://www.nytimes.com/2024/01/03/opinion/claudine-gay-harvard-president.html>). A przecież wystarczyłoby, gdyby powiedziała „przepraszam, oczywiście genocyd to rzecz potworna i wolność słowa nie usprawiedliwia ani osób do niego nawołujących ani tych, którzy takie nawoływania tolerują”.

W obronie rektor Gay wystąpiło wielu profesorów i szacownych komitetów harwardzkich (<https://www.nytimes.com/interactive/2023/12/12/us/claudine-gay-statement.html?searchResultPosition=5>). Gdzieś spod ziemi wydobyły się duchy dawno już zapomnianych sporów o to, czy Afrykańczycy są promowani dlatego, że są czarnoskórzy, czy dlatego, że są równie inteligentni, jak biali. Część profesorów twierdzi, że nie ma i nie było mowy o uprzywilejowaniu Gay ze względu na kolor jej skóry; druga część, że oto teraz zbieramy owoce tzw. *affirmative action* dotyczącej mniejszości rasowych. Ci ostatni podkreślają, że już od przeszło pokolenia czarni mają łatwiejszy niż biali dostęp do stypendiów i miejsc na przodujących uczelniach.

Niezależnie od tego, jakie stanowisko tu zajmiemy – a sprawa rozlała się dość szeroko, media zajmują się nią już parę tygodni, cała afera brzydko pachnie. Przyzwyczajaliśmy się patrzeć na wyższe uczelnie jako na oazy bezstronności, uczciwości, naukowości – tak nam sugerowało Oświecenie – a tu okazuje się... W każdym razie pani Gay wróciła na stanowisko zwykłego harwardzkiego profesora, które zajmowała przed promocją na urząd rektora. Jej roczna pensja ok. 900 tys. dolarów nie została uszczuplona. W Ameryce jest zwyczaj, że ustępujący członek administracji uniwersyteckiej zachowuje to samo wynagrodzenie, które pobierał jako dziekan czy rektor.

Ciąg dalszy: 4 stycznia 2024 prof. Charles Seife opublikował w *New York Timesie* artykuł, w którym stwierdza, że plagiat tego typu, którego dopuściła się Gay jest drobiazgiem w porównaniu z fałszerstwami źródeł i cytatów, które jego zdaniem nie są rzadkością w świecie naukowym. Takie nieskorygowane przez edytorów fałszerstwa są niekiedy uznawane za prawdę objawioną; na ich podstawie politycy podejmują błędne decyzje. Wśród przyczyn tej sytuacji Seife wymienia dość oczywisty fakt niedostatecznego sprawdzania wiarygodności przedkładanych wydawnictwom maszynopisów. To z kolei ma źródło w tym, że czytanie i poprawianie cudzych tekstów nie jest opłacalne ani finansowo, ani prestiżowo. Nikt profesorom nie płaci za tzw. *peer review*, czyli ocenianie prac, przysyłanych do pism naukowych – a jeżeli już, są to wynagrodzenia śmiesznie niskie. Czytanie cudzych maszynopisów to trochę jak spowiadanie w Kościele katolickim – nie owocuje jakąś wymierną korzyścią naukową lub prestiżową. Profesorowie i naukowcy oceniani są nie wedle prac, których wiarygodność sprawdzili, lecz na podstawie ich własnych książek i artykułów. Ambitnym naukowcom nie opłaca się tracić czasu na czytanie i poprawianie przedkładanych pismom naukowym tekstów. Bardzo niewielu takich anonimowych czytelników sprawdza dokładność każdego cytatu. Jeżeli ma się doktorantów, można przekazać im czytanie i ocenę, a samemu/samej jedynie postawić pod tym podpis. W artykule opublikowanym 14 stycznia br. w *New York Times*, Anemona Hartocollis przypomina, że rektor Stanfordu Marc Tessier-Lavigne zmuszony był do rezygnacji z urzędu w sierpniu 2023 roku właśnie za tego rodzaju przewinienia. (<https://www.nytimes.com/2024/01/14/us/plagiarism-harvard-claudine-gay-neri-oxman.html?searchResultPosition=1>).

Do tego dochodzą sprawy personalne. Któż odważy się odrzucić artykuł znanego i cenionego naukowca? Wiadomość o tym, kto czytał (i odrzucił) dany maszynopis zwykle dochodzi do autora wcześniej czy później. Tak więc istnieją ludzie nietykalni, których każde wymysły będą publikowane, jak

również ludzie, którzy pomimo solidnego dorobku nie pojawiają się w najlepszych wydawnictwach. W ten sposób do społecznego i naukowego obiegu przedostaje się sporo fałszywych odkryć i błędnych konkluzji. Tyle profesor Seife.

Skandale tego rodzaju ilustrują słabość systemu kształcenia młodzieży, systemu rodem z Oświecenia. Bowiem amerykańskie uniwersytety już od dawna nie zajmują się przekazywaniem mądrości pokoleń nowym pokoleniom (co robiły średniowieczne uczelnie), lecz skierowane są na wynajdywanie coraz to nowych rozwiązań technologicznych i pomysłów społecznych. Mądrość pokoleń jest „do wywozu”, pomniki byłych bohaterów takich jak Krzysztof Kolumb czy Robert E. Lee są burzone, bo zaprzeczają najnowszym teoriom sprawiedliwego społeczeństwa. Metafizykę zastąpiło uwielbienie dzieł artystycznych i teorii społecznych. Rola humanistyki i nauk społecznych polega na wciskaniu studentom do głów pomysłów, skomponowanych w zaciszu profesorskich gabinetów. Profesorom najlepszych uniwersytetów wierzy się tak, jak niegdyś prorokom. Są oni beneficjentami zasady *Roma locuta – causa finita*, oczywiście po zastąpieniu Rzymu przez Harvard lub inną prestiżową wyższą uczelnię. W artykule, opublikowanym w *Wall Street Journal* 9 stycznia br., James Spencer zauważa, że nikt nie sprawdza, na co są wydawane miliardy dolarów przekazywanych corocznie uniwersytetom w formie grantów, konferencji, kongresów, wyjazdów i wynagrodzeń. Profesorowie mogą promować teorie zabójcze dla demokracji i pokojowego współżycia narodów: nikt im oficjalnie nie może tego zakazać ani ukarać za destruktywną działalność.

Odezwalia się też neokonserwatyści, m in. przedstawiciele *Intercollegiate Studies Institute*, którzy wykorzystali okazję do stwierdzenia, że kryteria przyjmowania studentów na studia należy zmienić. Incydent, który rozpoczął się od antysemitycznych wybryków przyniósł falę artykułów, wyrażających

sceptycyzm w stosunku do zawodu profesora uniwersytetu, a zwłaszcza profesorów humanistyki i nauk społecznych. W Ameryce są dwa zawody, traktowane jak gdyby wykonujący je odznaczali się nieomylnością: lekarz i profesor. Pierwszy wciąż uważany jest za panaceum na choroby. Pozycja drugiego zaczyna się chwiać. Daleko jeszcze do ogłoszenia, że król jest nagi, ale już widać skrawki ciała.

Byłoby przesadą twierdzić, że sprawa rektor Gay spowoduje natychmiastowe zmiany w funkcjonowaniu wyższych uczelni. System, który obecnie panuje, zadowala wielu. Ale jest to jedna z tych kropli, które drażą skałę. Orwell napisał kiedyś, że jedyną nadzieją są ludzie prości (*If there is hope it lies in the proles.*). Zmuszenie rektor Harvarda do rezygnacji jest poważnym krokiem w uświadamianiu społeczeństwa, że uniwersytety nie potrafią praktykować samokontroli. Kiedy ta świadomość dotrze do większości obywateli nie wiadomo; ale ten proces już się rozpoczął.

Ewa Thompson, Rice University